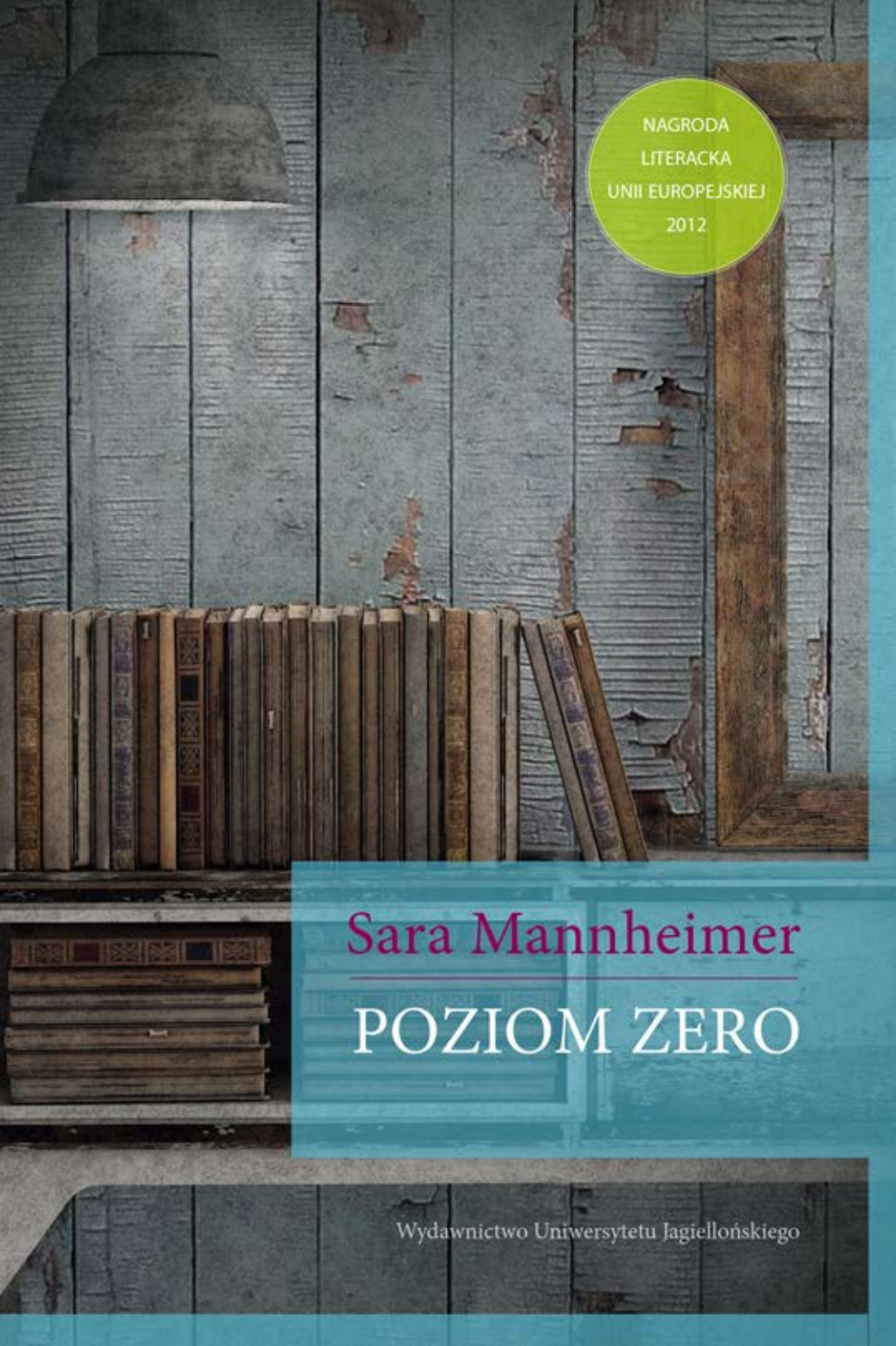




NAGRODA
LITERACKA
UNII EUROPEJSKIEJ
2012

Sara Mannheimer

POZIOM ZERO

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

POZIOM ZERO

Sara Mannheimer

POZIOM ZERO

Tłumaczenie Justyna Czechowska

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Publikacja objęta prawem autorskimi. Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie i rozpowszechnianie zabronione.
Publikacja przeznaczona jedynie dla klientów indywidualnych. Zakaz rozpowszechniania i udostępniania w serwisach bibliotecznych.

[Kup książkę](#)

Projekt okładki
Agnieszka Kucharz-Gulis

Fotografia na okładce:
CorDesign/ Depositphotos

Tytuł oryginału: *Handlingen*

Copyright © Sara Mannheimer 2011
Published by agreement with Agentur Literatur Gudrun Hebel, Germany

© Copyright for Polish Translation and Edition by Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego
Wydanie I, Kraków 2016
All rights reserved

Niniejszy utwór ani żaden jego fragment nie może być reprodukowany, przetwarzany i rozpowszechniany w jakikolwiek sposób za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych oraz nie może być przechowywany w żadnym systemie informatycznym bez uprzedniej pisemnej zgody Wydawcy.

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”.

Publikacja odzwierciedla jedynie poglądy autora i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczone w niej treści.



Co-funded by the Creative
Europe Programme
of the European Union

ISBN 978-83-233-4048-5

e-ISBN 978-83-233-9731-0



www.wuj.pl

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego
Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków
tel. 12-663-23-81, tel./fax 12-663-23-83
Dystrybucja: tel. 12-631-01-97, tel./fax 12-631-01-98
tel. kom. 506-006-674, e-mail: sprzedaz@wuj.pl
Konto: PEKAO SA, nr 80 1240 4722 1111 0000 4856 3325

Mądrość zaleca samą siebie

*Czyż mądrość nie nawołuje?
nie wysiła głosu Roztropność?
Na najwyższym szczycie, przy drodze,
na rozstaju zasiada,
przy bramach, u wejścia do miasta,
w przejściach głos swój podnosi:
(...)*

*od wieków jestem stworzona,
od początku, nim ziemia powstała.
Przed oceanem istnieć zaczęłam,
przed źródłami pełnymi wody;
zanim góry zostały założone,
przed pagórkami zaczęłam istnieć...*

Księga Przysłów (8, 1–3. 23–25)

JESIEŃ

Dom

Wreszcie! Muszę powiedzieć to głośno –

Jest jesień, a ja nie pozbawiona języka, nie pozbawiona domu, Dom mam wewnątrz, którego język się rozwiązał.

Mówię o tym głośno, by na dobre zakorzeniło się w mojej świadomości, ukryłam w szkatule wszystkie-inne-możliwe-przyszłe-oczekiwania, które kleją się do wyobrażenia o kolejnych miejscach i większych postępach.

Tymczasem noszę z sobą szkatułę po pokojach. Chodzę przez pokoje, gdzie roi się od zapieczętowanej nieobecności. Nieobecności tego, co mogło się stać, oraz oczywiście tego, co wciąż może nastąpić. Bo oczywiście niemożliwe jest wyprzedzenie zdarzeń oraz wykluczenie, że coś może wyrosnąć z wnętrza – albo że Wielkie Andy mogą nagle wyrosnąć niczym tło – kto wie, ale szkatuła musi być zamknięta. To, co jest lub może być jej zawartością, nie może być rozrzucone niczym czarodziejski pył po Domu, po życiu.

Teraz jestem tu, wreszcie jakiś port, jakieś zaspokojenie.

A szkatułę, zdaje się, coraz trudniej zlokalizować, prowadzi coraz głębiej w tunele i pasaż mojego ciała, jakby zewnętrzne ściany Domu otwarły wewnątrz nieprzebraną

przestrzeń. Słyszałam, jak ludzie mówili: *wewnętrzna podróż jest dalsza od geograficznej*, ale to były puste słowa, coś, czego znaczenia nigdy nie zrozumiałam.

Dopiero teraz tu dotarłam.

Zajął mi to trochę czasu, dotarcie tutaj. Ciągałam swój dobytek przez świat, od domu do domu, zawsze dziwiło mnie, że to właśnie mój bagaż tak dziwnie wygląda, nie jak prostokątne walizki, zamknięte na mały szyfrowy zamek, ale jak opatulone miniaturowe nosorożce albo jak wielkie obrazy zapakowane niezgrabnie w brezent i owinięte sznurkiem.

W pokojach i mieszkaniach, które wcześniej zajmowałam, to prowizorka i paranteza decydowały, gdzie ma stać szafa. Masa klejąca ześlizgiwała się po ścianach zgodnie z prawem ciężkości, nad brzegami listewek rozkołysały się jak żagle reprodukcje Aroseniusa i Vermeera, a potem już był czas, by je związać gumką przed kolejnym wyjazdem.

To w ruchu, w byciu w drodze ku temu, co miało na데jść, w roju atrybutów przyszłości, stałam się dla siebie.

Teraz stoję pośrodku Domu, jakby otoczona miejscem, lecz mimo zwycięskiego uczucia, że wylądowałam, czuję się schwyтана na gorącym uczynku, czuję się rozebrana, mówiąc wprost, *naga*.

Jeśli podczas objazdowego życia byłam ubrana lub opakowana we flagę przyszłości, okutana w kombinezon obietnicy w kolorze marchewki, teraz cały ten mundur zwało ze mnie, tak że łopocze podobny do rozbuchanej pochodni u wrót Domu. Własne bandaże muszę znaleźć w środku, w środku siebie. Gonienie ich na nowo przez świat byłoby poronione, ponieważ za żadne skarby nie chcę być gdzie indziej, nie chcę stąd iść.

Jestem tu, moja praca jest tu, Máram, Randi i Löwet są tu, wszystko, czego potrzebuję, by istnieć, by żyć, jest tutaj.

A jednak, poza sprawą nagości, poza pulsującą nieobecnością i tym, co może przybrać formę od środka, jakby to powiedzieć, jest kilka rzeczy, co do których nie mam jeszcze jasności.

Chociaż nie wątpię, że to tu chcę być, jak bardzo niewątpliwe jest to, że sam Dom będzie trwał? Jak to jest na przykład ze ścianami? Czy to prawdziwe ściany czy są tylko zaszpachlowane i pomalowane farbą? A światło, czyż to nie prawie nienaturalne światło?

Chociaż jestem bliska euforii, że znajduję się tu, pytanie powraca: Skąd mam wiedzieć, że to prawdziwy Dom, prawdziwe Mieszkanie?

Muszę przyznać, że jeszcze nie oswoiłam się z Domem. Muszę przyznać, że wątpię w jego trwałość. Czy to stosowne, by ufać ścianom z materiału, który się rozłoży, ufać farbie malarskiej, wełnie szklanej i szpachli? Czy nie używa się tego, by pokryć, zatuszować właśnie – katastrofę.

Katastrofa może nadejść. Katastrofa może nadejść, choć się ufa.

Czy Dom nadal stoi, chroni, czy Dom jest moją twierdzą? (Gdy przepaść otwiera się i pochłania?)

* * *

Na przykład krzyczałam na cały głos, a gdy Máram nagle pojawił się w drzwiach, trzymając w dłoni siatkę z zakupami, serce zaczęło gwałtownie bić.

– Uspokój się!

Jak to możliwe, że człowiek jest nieprzygotowany na czyjeś przyjście, kiedy ten ktoś, było nie było, mieszka w tym samym domu?

– Ale – słyszę sama siebie, jak mówię do Márama to-nem mowy obronnej (tak naprawdę mówię chyba sama do siebie), czyż spotkania w drzwiach pokoi o ścianach z cienkiej sklejki nie są poprzedzone próbami? Czy przyznano mi choćby najmniejszą przestrzeń, by przygotować się na to nagłe wejście? (Nie, wpadło jakby z jakiegoś zupełnie innego przedstawienia).

Podnoszę wzrok i w tym samym momencie dostrzegam pęknięcia w suficie, które wprawdzie tworzą ciekawe wzory, ale jednocześnie są bezpośrednim dowodem na to, tak przynajmniej uważam w tej chwili, że ten Dom jest równie nietrwały co wszystkie inne konstrukcje i być może jest czymś zupełnie innym niż domem, może raczej swoistą dekoracją, którą sama stworzyłam, by w chronionym warsztacie móc przerobić różnorakie akcje i zdarzenia na mój własny sposób, no tak, poprzez wsadzenie tego w językowe śpioszki: Wieczne dziecko, wieczne To wiersza, by przekroczyć Czas, który już przekroczył Miejsce, by wziąć Śmierć-która-nadejdzie we własne ręce, masować ją, pogłodzić ją atramentem, może to niegodziwe, rozkosznie idiotyczne –

Ale co to jest, co tak po prostu nazywane jest moim Życiem, jeśli mój Dom to scena, albo powiedzmy konstrukcja?

W jakim zatem wymiarze znajduje się tak zwana rzeczywistość?

* * *

W nocy śnił mi się mały, gruby chłopiec.

Byliśmy na piętrze, bałam się, że się zarazę od chudych kobiet z dołu infekcją gardła, na którą cierpią. Bałam się również, że zarazę się od tego małego grubasa, ale przeszło mi. Bawiłam się z nim, chciałam, żeby poczuł, że naprawdę chcę się z nim bawić! Nie tak, jakbym robiła to tylko ze względu na niego. Zabawa była z tych akrobatycznych. Turlaliśmy się po podłodze, była tam kołdra, nie widziałam jego twarzy, raczej czułam ciężar, wálki, białe mięso, miękkie, niepewne, chyba był trochę smutny, w końcu był grubasem, bladym, tłustym i małym, nie przynależał do domu, a jednak, gdzie miał się podziąć?

Ja też nie miałam dokąd pójść, ja też nie przynależałam do domu.

A jednak poszedł, tak mi się wydaje. To wtedy otworzyłam okno, żeby porządnie wytrześć kołdrę, która być może miała zarazki mięsa, zagubienia.

Teraz za nim tęsknię. Za chłopcem, który być może był mną? Teraz, kiedy znów tu jestem. W rzeczywistości?

Czy po to jest Dom? Czy to tu mam mieć odwagę być grubą, wreszcie spuchnąć, zacząć się trząść, błędzić bezwładnie? Czy to tu mam oddać się organicznemu ruchowi?

Nie posiadam odpowiedzi.

Ale moje ciało wciąż kryje w sobie szkatułę; szkatułę, która ugina się pod ciężarem innych miejsc. Owinięte dziury nieobecności i tęsknoty. Trzymam w szachu spuchniętą otchłań, trzymam ją wewnątrz, cichą,